

ZENON BUTKIEWICZ, „HEBANOWSKI: Z PAMIĘCI”

Stojący u wejścia na salę teatralną: wysoki, szczupły, w marynarce, która prawie zawsze wydawała się nazbyt obszerna, włosy gładko zaczesane do tyłu, charakterystyczna wypukłość na czole, poważny, lustrujący salę uważnym spojrzeniem: teatr to nie jest miejsce dla zabawy, tu się będzie mówiło o rzeczach poważnych. Tak go pamiętam. Z oddali, z perspektywy studenta, który zawsze od jego przedstawień oczekiwał wiele i zarazem wielce na nie wyczekiwał.

Kiedy projektowaliśmy konkurs „Klasyka Żywa” od początku wiadomo było, że wśród nagród powinna się znaleźć i taka, która wskaże na odkrycia repertuarowe. O nieznanne utwory, będzie chyba trudno, ale zapomniane, nie dość odkryte, rzadko, zbyt rzadko na scenie obecne chyba się znajdują. I kiedy projekt poszedł „w lud”, kiedy poprosiliśmy szerokie dość grono ludzi teatru o swoje uwagi, wtedy pojawił się pomysł, aby tę nagrodę nazwać imieniem Stanisława Hebanowskiego. I powiem, że wzbudziło to moją dużą zazdrość. Przecież to ja, lub ktoś z mojego pokolenia, powinien wpaść na ten pomysł, aby w tym momencie przywołać nazwisko niegdysiejszego dyrektora gdańskiego teatru. Uczynił to wszak ktoś z dużo młodszej generacji, był to bowiem Paweł Płoski. Znajduję jednak w tym fakcie pociechę, że pamięć o tak niezwykłym, tak szczególnym człowieku teatru, jakim był Stanisław Hebanowski przeniosła się przez lata i w trzydzieści lat po jego śmierci potrafi wrócić tak odpowiednio wyzyskana ze strony osoby, która może znać go jedynie poprzez własne dociekania.

O tym, że spektakl teatralny odchodzi wraz z widzami opuszczającymi salę teatralną napisano już wiele, o tym, że jest to i siłą i słabością teatru także. Niewątpliwie przedstawienia Hebanowskiego, a widziałem ich dość sporo, w większości nie należą do tych, których przywołanie z pamięci wymaga sięgania do notatek, recenzji, dokumentów. Ich teatralna intensywność bez trudu pozwalała przekroczyć pamięć jednego wieczoru.

Najsilniejsze i najbardziej wyraziste dla mnie wspomnienie to „Sen” dramat i wtedy i dziś całkowicie zapomnianej autorki Felicji Kruszewskiej. Kiedy Hebanowski przypomniał go na scenie, zarazem przypominana została historia prapremiery Edmunda Wiercińskiego z roku 1927. Pamiętamy, iż wówczas owa fantazja sceniczna mieściła się w kategorii „polski dramat współczesny”. Spektakl Wiercińskiego stał się głośny i ważny dla teatru, wywołał bowiem poważny konflikt wewnątrz wileńskiej Reduty zakończony odejściem z teatru reżysera i związanej z nim grupy aktorów. Ale jakie to miało znaczenie dla inscenizacji w 1974 roku? Dzieło Kruszewskiej powstało w pierwszych latach niepodległości, tu dodajmy że ewenementem w owym czasie była decyzja wydania przez teatr programu z pełnym tekstem utworu, wyrażało ówczesne niepokoje o dopiero co uzyskaną suwerenność, przywoływało bohaterów tego historycznego momentu, a mityczne, nieokreślone Czarne Wojska, uosabiały „ciemne siły”. A wszystko było owym tytułowym snem Dziewczynki, która w żyje (śni?) w przeświadczeniu, że od jej działań zależy los kraju.

O czym mogło mówić to przedstawienie w początku lat siedemdziesiątych, w czasach względnej prosperity, zabliznionych przynajmniej pozornie ran tragedii Grudnia'70, która szczególnie dotknęła Gdańsk? Na pewno nie było to przedstawienie przygotowane przez starszego pana z przedwojennym wykształceniem – chociaż pojęcie to w tamtym czasie miało swoją wagę – dla pamiętających tamten czas, tęskniących za nim, chociaż takich pewnie i nie brakowało. Forma spektaklu nie miała w sobie nic z pracy reżysera filologa, który z pietyzmem pochyla się nad tekstem. Był to spektakl kierowany do współczesnych, bez gradacji pokoleniowej. Pamiętam studentów z Gdańska na spotkaniach młodych teatrologów zafascynowanych tym

przedstawieniem, pamiętam gorące dyskusje po spektaklu. Nie były to wyłącznie zachwyty, ale czuło się, że sceny otrzymujemy ważny komunikat.

Dziewczynka śniła w swoim dziecięcym pokoju, którego przestrzeń wypełniały wielkie dziecięce klocki, pokonywała przeszkody w postaci nitek włóczki nawijanych na wielkie kłębki, a jej poczynaniom nieustannie przeszkadzał Zielony Pajac. Nad sceną górował wielki obraz zastygłego w matejkowskim geście Wernyhory. Wokół niego na malarskim prospekcie kłębiły postacie narodowego panteonu patriotycznego. Nietrudno zgadnąć, że autorem scenografii był Marian Kołodziej. Osoby przychodzące z marzeń i wspomnień Dziewczynki strojami przywoływały czas międzywojnia, wrażenie robił oficer w mundurze żołnierza z lat dwudziestych, którego pojawieniu się towarzyszyła niezbyt chętnie w owym czasie przypominana melodia Rozkwitały pęki białych róż. Czarne Wojska, ich wódz, to było eleganckie towarzystwo w lśniących czernią smokingach, wieczorowych sukniach. W licznym zespole pamiętni byli Wanda Neumann w roli Dziewczynki, pięknie noszący, rzadko wówczas eksponowany mundur z dwudziestolecia Krzysztof Gordon, warunki amanta niczym z przedwojennego filmu znakomicie eksponował Edward Ożana. Tak, to wszystko było na granicy sentymentalnego kiczu. Natomiast poetyka snu, owej teatralnej fantazji powodowała, że obraz postaci z przeszłości, stwarzał pole do zastanowienia się o czym właściwie jest ten spektakl, jaki jest jego sens. Czarne Wojska pozbawione były całkowicie tak wówczas modnej aluzyjności, co nie ułatwiało zadania i odsuwało najprostsze interpretacje. Nie jestem w stanie dziś szukać odpowiedzi na to pytanie, tak jak nie mogłem jej znaleźć ówczesnie. Bo był to teatr i niemodny i jednocześnie współczesny, oryginalny i wyróżniający się swoistym niedopowiedzeniem, nutą nostalgii z ówczesnych tła. Nie wszystkim się podobał, ale my, których poruszył, może po prostu chcieliśmy pięknie śnić w teatrze. Kiedy wychodziliśmy na ulicę było jak zawsze, zwyczajnie, tamten świat był snem. Może o to chodziło?

Teatr Hebanowskiego, gdańskie „Wybrzeże” lat siedemdziesiątych na północy Polski był w tym czasie najjaśniejszym punktem. W tamtym regionie nie miał konkurencji, to tam spoglądano najczęściej i z lokalnej perspektywy, i stołecznej, i krakowskiej.

A sezon ów ? Dwa tygodnie przed gdańską premierą „Snu” w Krakowie na scenie Starego Teatru, gdzie wciąż grane były „Dziady” Swinarskiego premierę „Nocy listopadowej” z muzyką Koniecznego dał Wajda, dwa tygodnie później na scenie Narodowego w Warszawie Hanuszkiewicz wsadził na Hondę Balladynę, w kwietniu w Dramatycznym „Ślub” w reżyserii Jarockiego otworzył polskie teatry dla dramaturgii Gombrowicza, a vis á vis w Studio Szajna pokazał „Dantego”. Ten cykl historycznych premier zamknęło „Wyzwolenie” Konrada Swinarskiego w Krakowie. To wszystko od stycznia do maja 1974 roku. W gronie tych premier, kamieni milowych polskiego teatru tamtej i nie tylko tamtej dekady, powiedzmy otwarcie „Sen” się nie mieści, to bezsporne. Nie oznacza to wszak jego zapomnienia. Osobność, oryginalność zapewniają mu skromne, ale zasłużone miejsce obok tych wielkich inscenizacji.

W rejestrze pamięci pozostaje nie tylko „Sen”, to inscenizacje dramatów Micińskiego, to także antyczna „Helena” polska prapremiera, w 1973 roku (!) tragedii (choć z dobrym zakończeniem) Eurypidesa, to także przywrócony scenie Nowaczyński, nie tkniętą przez nikogo innego „Cyganerią warszawską”. Może ów spektakl podsunął myśl Andrzejowi Wajdzie by pójść krok dalej i stworzyć trzy lata później „Z biegiem lat, z biegiem dni”. Nie wszystkie odkrycia Hebanowskiego stały się ważnymi spektaklami, do wielu tytułów, które wydobył z niebytu, nikt nie wracał później, nie wszystkie inscenizacje stały się sukcesem. A jednak udało mu się kilkakrotnie efekty swych literackich zainteresowań przeobrazić w sukces teatralny, adresowany - to najważniejsze - nie do swoich rówieśników, nie do tych, którzy szukają dróg powrotu do „starego dobrego” teatru w

opozycji do tego „złego dzisiejszego”. Hebanowski był właśnie z teatru dzisiejszego, adresował swoje „znaleziska” do widza mu współczesnego, do tego, który podążając głównym nurtem lubi także napotkać coś nieznanego, nowego, wartego zastanowienia.

Nie namawiam nikogo, aby dziś sięgać do repertuaru Hebanowskiego, ale aby iść jego drogą. Sięgał on raz do dramatu antycznego, innym zaś razem francuskiego, sięgał też do polskich utworów napisanych pół wieku wcześniej. A cofając się od dzisiejszej daty o ten czas znajdziemy się w momencie, kiedy Mroźek był dobrze zapowiadającym się młodym autorem, a może o kimś innym z tamtych lat zapomnieliśmy?